C. C. MacApp

Gość z Ganimedesa

(A Guest of Ganymede)

`

Worlds of Tomorrow, June 1963
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

I

Jego pracodawca zapłacił olbrzymie pieniądze, aby zamaskować mały statek jako odłamek asteroidowej skały, i Gilbertowi Murdochowi udało się przeprowadzić go przez strefę blokady. Teraz spoczywał on bezpiecznie wtopiony w lód; i nawet jeśli ponad nim wyparowało w przestrzeń kosmiczną na tyle dużo gorącej wody, aby pozostawić wyraźny ślad, to na poobijanej powierzchni Ganimedesa nie było to niczym nadzwyczajnym. W każdym razie, było mało prawdopodobne, aby terrańskie patrole znalazły się w ich pobliżu.

Murdoch włączył przednie promienniki ciepła i ostrożnie przesunął statek nieco do przodu.

— Co teraz robisz? — zaczął dopytywać się Waverill.

Murdoch spojrzał na niewidomego mężczyznę.

— Próbuję znaleźć dobry punkt, proszę pana, tak bym mógł lepiej obejrzeć sobie całe to miejsce.

— Po co? Dlaczego po prostu nie skontaktujesz się z nimi?

— To tylko ostrożność, proszę pana. Pomimo wszystko, nie wiemy o nich zbyt wiele. — Murdoch nie pozwolił, aby jego głos zdradził rozdrażnienie. Miał swoje własne powody, dla których chciał wcześniej rozejrzeć się po okolicy, chociaż obcy z pewnością wykryli ich już w odległości tysięcy mil w kosmosie i dokładnie wiedzieli, gdzie się obecnie znajdują.

Coś twardszego, pewnie jakaś zatopiona w lodzie skała, uderzyło o kadłub statku. Murdoch zatrzymał pojazd, a po chwili ruszył dalej, w znacznie wolniejszym tempie.

Ekrany widokowe przejaśniły się. Wyłączył silniki, a następnie przednie promienniki. Wokół statku kotłowała się, mleczna od pęcherzyków pary, woda, stopniowo stając się coraz bardziej przejrzysta. W ciągu kilku minut, zmieni się ona ponownie w twardy lód i wtedy będzie można przez niego patrzeć.

Znajdowali się nie więcej niż dziesięć stóp od pustej przestrzeni, wolnej od w lodu. Murdoch zajął pozycję obserwacyjną ryby w mętnej wodzie, zaglądającej do zanurzonego szklanego słoja. Widać było, że całe to miejsce ma kształt idealnego cylindra, utrzymywanego przez pole siłowe, czy cokolwiek tam powstrzymywało napór lodu. Można było dostrzec ciemny cień przeciwległej ściany, położonej o około pięćdziesiąt jardów od nich, i ciągnącej się w głąb, jakieś osiemdziesiąt, czy dziewięćdziesiąt stóp od powierzchni. Sprowadził statek w dół, na co najwyżej jedną trzecią tej głębokości, tak że z tego miejsca mógł sobie obejrzeć z góry prosty, jednopiętrowy budyneczek i otaczające go schludne trawniki i żywopłoty.

Budynek i tereny zielone zajmowały jedynie jedną drugą terenu, połowa położona bliżej Murdocha wysypana była w całości żwirem i pozbawiona roślin. To tam, jak zakładał, powinni wylądować. Budynek

dostosowany był kształtem do półkola na którym stał, i zajmował większą jego część, jak połówka tortu umieszczonego w okrągłym pudełku, z niewielką ilością wolnego miejsca wokół niej. Przed prostym frontem budynku i wokół krzywizny w jego tylnej części, biegł żwirowy chodnik, otoczony przez trawę. Zewnętrzną granicę całego półkola otaczał żywopłot.

Pośrodku budynku znajdowały się niepozorne drzwi. W szarej płaskiej ścianie nie było okien.

Rośliny wyglądały na terrańskie i widać było, że wyrastały z ziemi, chociaż pod nimi musiały być całe mile lodu. Cały teren zalewało z góry jasne światło słoneczne. Murdoch słyszał wcześniej, a teraz był już tego pewien, że coś utrzymywało w tym miejscu atmosferę.

— Na co jeszcze czekamy? — dopytywał się Waverill.

Murdoch sięgnął do przełącznika i powiedział po prostu:

— Witajcie.

Głos, który mu odpowiedział był precyzyjny i jednostajny, pozbawiony pytającej intonacji.

— Kim jesteście.

— Mój pracodawca nazywa się Frederick Waverill. Ma tutaj umówione spotkanie.

— A ty.

— Gilbert Murdoch.

Nastąpiła chwila przerwy, a potem:

— Gilbert Andrew Murdoch. Wiek trzydzieści cztery lata. Urodzony w stanie nazywanym Illinois.

Zaskoczony Murdoch zawahał się, ale zaraz zorientował się, że prawdopodobnie zadano mu pytanie.

— Eeee… zgadza się.

— Jest cena za twoją głowę, Murdoch.

Murdoch zawahał się ponownie, a potem odpowiedział:

— Na waszą też pewnie by była, gdyby Ziemia ośmieliła się ją nałożyć.

Waverill złapał się poręczy swojego fotela i poderwał się na nogi, zbyt energicznie ja na tak słabą grawitację.

— Dajmy już spokój z tymi głupstwami. Zatrudniłem tego człowieka, ponieważ mógł on mnie skontaktować z wami i przetransportować tutaj. Czy możecie przywrócić mi wzrok?

— Możemy, ale przede wszystkim muszę ostrzec was obu, żebyście nie próbowali niczego nam ukraść, ani podpatrywać naszych metod. Kilku Terran próbowało już tego, ale żaden z nich nie uszedł stąd z życiem.

Waverill wykonał gest niecierpliwości.

— Ja już mam więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek będę w stanie policzyć. Wydałem mnóstwo z nich, naprawdę ogromną sumę, na metal, którego zażądaliście, i mam go tutaj, na tym statku.

— Wiedzieliśmy o tym już wcześniej, i nie obchodzi nas ile to cię kosztowało. Nie jesteśmy altruistami.

W to, pomyślał sobie Murdoch, można było uwierzyć. Poczuł lepkość potu. Jeśli oni wiedzieli o nim tak wiele, mogli także zdawać sobie sprawę z lat jakie spędził odsiewając i oceniając pogłoski na ich temat, krążące po niewielkiej społeczności kosmicznych przestępców. A przecież starał się być tak ostrożny, jak to tylko było możliwe.

Zastanawiał się, czy Waverill nie wiedział więcej, niż udawał że wie. Wydawało mu się, że nie; nawet wiedza samego Murdocha była głównie kwestią żmudnej i drobiazgowej dedukcji. Tyle Murdoch wiedział z wystarczająco dużą pewnością, aby postawić na to swoje życie: kuracja związana była z wykorzystaniem dziwnych wiruso-podobnych stworzeń, które namnażały się w żyłach człowieka, z przypuszczalnie egoistycznych lub instynktownych powodów, i pomagały ciału naprawiać się oraz utrzymywać w dobrej kondycji. Wiedział z absolutną pewnością, że obcy zawsze bardzo uważnie niszczyli wirusy w żyłach pacjentów, zanim pozwolili im odlecieć.

Sądził, że wie, dlaczego.

Problemem było jak stąd wykraść i przemycić jakąś przydatną ilość wirusa. Wystarczyło by nawet kilka komórek, pomyślał, gdyby tylko udało się stąd uciec, mając je we krwi. Przecież one potrafiły się rozmnażać; a jaka byłaby cena za kroplę takiej krwi – nawet za jedną tysięczną kropli – jeśli przenosiłaby ona praktyczną nieśmiertelność?

Można by za to kupić niemalże całą Ziemię.

Głos przemówił ponownie.

— Poruszajcie się prosto przed siebie. Pole zostanie dla was otworzone.

Murdoch wprawił statek w ruch. Znowu został oślepiony przez topiący się lód, dopóki nie przebili się w pustą przestrzeń, gdzie zawiśli w dziwnym bezruchu, a potem powoli zaczęli opadać. Statek unosił się na jakimś promieniu. Przez chwilę słychać było spływającą na zewnątrz kadłuba statku kaskadę wody, później wszystko ucichło. Zerknął na rufowy ekran i zobaczył, że tunel z którego się wydostali, z odrobiną wody wciąż zalewającą jego dno, ponownie został zamknięty przez pole siłowe. Woda, która z niego wyciekła, spływała na dole rowem otaczającym pusty teren.

Powoli opuszczono ich na pokryty żwirem plac.

— Wyjdźcie ze statku — zarządził głos — i podejdźcie do drzwi, które widzicie.

Murdoch pomógł Waverillowi przejść przez wewnętrzny i zewnętrzny właz i poprowadził go w stronę budynku. Pierwsza zdobyta informacja, jedną połówkę koła od drugiej, oddzielała bariera siłowa. Widać było, że gałęzie żywopłotu wzdłuż jego średnicy opierały się o jakąś niewidzialną płaską powierzchnię. Kiedy do niej doszli zawahał się, ale głos oznajmił:

— Idźcie prosto do drzwi. Pole otworzy się przed wami.

Pokierował Waverillem we właściwym kierunku. Kiedy mijali punkt środkowy, poczuł dziwną przeszkodę, mrowienie i lekką niechęć do przejścia. Waverill chrząknął napotkawszy na nią, ale nic nie powiedział.

Drzwi do których podeszli rozsunęły się na boki i znaleźli się w prostym pomieszczeniu, z wyjściami po lewej i prawej stronie. Zewnętrzne drzwi zamknęły się za nimi. Otworzyło się wyjście po prawej stronie i Murdoch przeprowadził przez nie Waverilla. Znaleźli się w kolejnym pomieszczeniu o tych samych rozmiarach, całkowicie pustym, poza stojącą wzdłuż jednej ze ścian ławką.

Głos oznajmił im:

— Zdejmijcie ubrania i połóżcie je na podłodze.

Waverill zastosował się do tego polecenia bez słowa protestu, a po chwili Murdoch również to zrobił.

— Cofnijcie się.

Wykonali polecenie

Ubranie przeleciało przez podłogę, opadając leniwie pod wpływem lekkiej grawitacji. Murdoch chrząknął. W jego ubranie wbudowane było pewne uzbrojenie, i pozbawiony go poczuł się niepewnie.

Na końcu pomieszczenia od strony wnętrza budynku, znajdowały się kolejne drzwi, podobne do tych, przez które się tutaj dostali. Teraz otworzyły się i do środka wkroczył robot.

Miał z grubsza humanoidalne kształty i kolor zbliżony do barwy ciała, ale pozbawiony był szczegółów charakterystycznych dla zwierząt czy ludzi. Jego głowa miała kilka widocznych elementów oprócz oczu, ale żadnego z nich nie można było określić jako nos, usta, czy uszy. Robot stał, patrząc na nich przez chwilę, a następnie odezwał się znajomym głosem:

— Nie wystraszcie się, jeśli coś teraz poczujecie.

Rozległo się dźwięczenie, potem poczuli ciepło, jakąś wibrację i jeszcze kilka innych wrażeń, trudniejszych do zaklasyfikowania. Murdoch nie potrafił powiedzieć, czy ich źródłem był robot, czy nie. Jednak oczywiste było, że robot jakoś ich skanował. Oparł się pokusie schowania rąk bardziej za siebie. Przedtem był bardzo zadowolony z delikatnych zabiegów chirurgicznych jakie przeszedł, ale teraz wyobrażał sobie, że są one prymitywne i wyraźnie widoczne.

Robot zdawał się niczego nie zauważać.

Po jakiejś minucie robot powiedział:

— Za drzwiami, przez które wszedłem, znajdziecie sypialnię, łazienkę i miejsce do przygotowania posiłków. Najlepiej będzie jeśli teraz tam pójdziecie i odpoczniecie.

Murdoch podał rękę Waverillowi, który trochę pogderał, ale poszedł z nim.

Głos mówił dalej, zdając się dobiegać teraz od strony sufitu.

— Leczenie rozpocznie się jutro. W trakcie rekonwalescencji Murdoch będzie troszczył się o Waverilla. Wzrok zostanie przywrócony za cztery dni i pozostaniecie tu jeszcze jeden dzień dłużej. Potem będziecie mogli wrócić na wasz statek. Podczas waszego pobytu tutaj, będziecie chronieni przed sobą nawzajem. Jeśli dotrzymacie warunków umowy, po waszym odlocie nie będziemy się wami interesować.

Murdoch obserwował twarz Waverilla, ale nic po niej nie było widać. Był pewien, że miliarder już wcześniej zaaranżował jego uwięzienie na

stałe, kiedy tylko przestanie mu być potrzebny, i oczywiście nie miał zamiaru dopuścić do realizacji tych zamiarów.

II

Okazało się, że mówiąc o dniach, robot miał na myśli dwudziestoczterogodzinne cykle światła i ciemności, z zachowaniem odpowiednich temperatur. W innych okolicznościach, to miejsce można byłoby nawet uznać za całkiem wygodne.

Spiżarnia była pełna ziemskiego jedzenia, z czego jednak nie wynikało dla Murdocha nic nowego, ponieważ był to tylko kolejny dowód na kontakty obcych z ludźmi. Usmażył jajka na bekonie, pomógł Waverillowi zjeść, a potem zaczął zmywać naczynia.

Czuł się niepewnie bez swojego ubrania; więcej – ponieważ przez lata użytkowania przywykł do ukrytej w nim broni, stała się ona niemal częścią jego samego. Pomyślał: Za szybko zrobiłem się zbyt nerwowy. Moje nerwy muszą wystarczyć jeszcze na długi czas.

Gdy kładł naczynia do zlewu, do pomieszczenia wszedł robot i przez chwilę go obserwował. Potem powiedział do Waverilla:

— Trzymaj rękę na moim ramieniu i idź za mną.

Złapał prawą rękę Waverilla i umieścił ją na swoim prawym ramieniu, ujawniając przy tym, że jego ręka miała dwa stawy. Potem, po prostu ruszył przez ścianę. Niewidomy mężczyzna, bez wahania i być może nawet nie zdając sobie z tego sprawy, również przeszedł przez pozornie stałą materię.

Kiedy zniknęli, Murdoch podszedł szybko do ściany i położył na niej dłoń. Twarda.

Od strony sufitu doleciał głos:

— Nie będziesz w stanie przeniknąć przez ściany, poza sytuacjami, kiedy zostanie ci to powiedziane. Wszystkie miejsca dostępne dla ciebie na tej połówce terenu, stoją przed tobą otworem. Połowa terenu, na której stoi wasz statek, pozostanie jednak odizolowana. Możesz dla rozrywki robić co ci się tylko podoba, pod warunkiem, że nie będziesz niczego rozmyślnie niszczył. Poczyniliśmy poważne wysiłki, żeby uczynić to miejsce jak najbardziej wygodnym dla Terran. Nie zniwecz tych wysiłków, pamiętając o tych, którzy mogą pojawić się tu później.

Murdoch uśmiechnął się w myśli. Spodziewał się, że ściany będą twarde; chciał tylko sprawdzić czujność obcych. Teraz już wiedział, że ma do czynienia z czymś więcej, niż tylko ze zwykłym robotem, oraz że głos był taki sam, niezależnie od tego, skąd dobiegał.

Co prawda, te informacje nie były specjalnie pomocne.

Zostawił ścianę w spokoju i zajrzał za drzwi po drugiej stronie mieszkania. Okazało się, że w tej części budynku znajdowała się

biblioteka, salka gimnastyczna i coś co wyglądało na muzeum historii Układu Słonecznego. Nie było tam jednak nic specjalnie nowego dla niego. Również w bibliotece, chociaż można było w niej znaleźć pewne użyteczne dane i tabele, czuł jednak zbyt duże napięcie, aby zająć się ich studiowaniem. Z salki gimnastycznej skorzysta później.

Wyszedł na zewnątrz budynku, ostrożnie spacerując po żwirowej alejce. Tył budynku tworzył pozbawione wyróżniających się elementów charakterystycznych półkole, otoczone przez jednolicie wyglądające trawniki i żywopłoty. Wziął kilka głębszych oddechów przesiąkniętego zapachem kwiatów powietrza.

Aż podskoczył ze strachu na niespodziewane bzyczenie, gdzieś koło łokcia. To była pszczoła, która poderwała się z jednego z kwiatów i zataczając kręgi leciała w górę, w stronę dachu budynku, znikając za jego krawędzią. Murdoch zastanawiał się przez chwilę nad wyskokiem z rozpędu i podciągnięciem się na dach budynku, aby zobaczyć czy nie ma tam uli, ale postanowił nie ryzykować niezadowolenia obcych. Uświadomił sobie teraz, że przez cały czas słyszał dookoła brzęczenie pszczół, nie rozpoznając tego dźwięku, i zdenerwował się sam na siebie, że nie był bardziej czujny. Zaczął zwracać większą uwagę na otoczenie, zauważając również inne owady; mrówki i różnorodne chrząszcze. Nie było tu żadnych ptaków, ssaków, czy gadów, o ile był w stanie stwierdzić.

Rozsunął żywopłot i wychylił się przez niego, przysuwając się do przezroczystej ściany, przecierając lód dłońmi, aby zajrzeć pod jego powierzchnię. W środku można było dostrzec kilka odłamów skalnych. Znalazł jeden, gładko rozcięty na dwie części przez pole siłowe, czy cokolwiek by to nie było. W lodzie ponad nimi widać było ślady warstw stratyfikacyjnych, w miejscach gdzie powoli zapadały się pod niego. Na Ganimedesie tempo zapadania się w lodzie zimnych, nie rozgrzewanych przez słońce skał, powinno być bardzo powolne.

Daleko z tyłu, rozmyte w mroku, widać było jakieś dwie niewyraźne rzeczy, które mogły być dużymi skałami albo statkami kosmicznymi. Można było dostrzec także kilka innych obiektów, o niewyraźnych lecz sugestywnych kształtach, przypominających zerodowane przez bardzo długie działanie czasu przedmioty. Nic takiego nie mogło w normalny sposób spaść tutaj z kosmosu.

Przeszedł ponownie przed front budynku i stał przez chwilę, przyglądając się wysypanej żwirem drugiej połówce placu. Nie widział, żeby tam krążyły jakieś owady, albo rosło choćby źdźbło trawy. Podszedł do bariery i nachylił się ku niej, żeby przyjrzeć jak ona wygląda. Była sztywna, nie czuło się jednak gładkości i twardości szkła. Przeciwnie, raczej jej powierzchnia wydawała się być lekko sprężysta, mógł w nią nawet wcisnąć paznokieć na ułamek milimetra.

Przypomniał sobie, że na Ziemi, pszczołom często zdarza się uderzać w tafle szyb i zaczął się rozglądać, żeby zobaczyć czy tutaj również mają podobne problemy z barierą. Ale nie. Mniej więcej jakiś cal przed nią skręcały w powietrzu, unikając zderzenia. Nie widział również, aby jakiekolwiek inne owady pełzały po jej niewidocznej powierzchni.

Przysunął twarz bliżej i znowu zauważył tę dziwną niechęć, którą wyczuł przechodząc przez barierę w drodze ze statku.

Na poziomie gruntu ciemna linia, nie grubsza niż jedna czwarta cala, wskazywała miejsce w którym bariera wcinała się w ziemię. Po jej obu stronach opierały się o nią kupki żwiru.

Popatrzył ponownie, tym razem w stronę statku. Jeśli wszystko poszło zgodnie z planem, w określonej chwili w ciągu następnych dwóch dni, na statku powinien uruchomić się alarm zbliżeniowy. Nie spodziewał się co prawda, że obcy pozwolą mu wrócić na statek, ale miał nadzieję, że dywersja ta pomoże mu sprawdzić coś, o czym słyszał w związku z barierą.

Wygiął kciuki, czując niewielkie bryłki zaimplantowane w plątaninie mięśni, między kciukiem i palcem wskazującym każdej dłoni. Ćwiczył wyciąganie i chowanie tych małych przyrządów tak długo, że potrafił to zrobić, nie myśląc o tym. Teraz jednak cały projekt wydał mu się żałośnie optymistyczny.

Ponownie poczuł złość na samego siebie. To obcy, pomyślał, tak mi działają na nerwy. Wykonałem mnóstwo zadań równie trudnych jak to, nie gryząc się w ten sposób.

Rozpoczął kolejne kółko wokół budynku, i właśnie był na jego tyłach, kiedy jakiś głos oznajmił, niemal tuż koło jego ucha:

— Murdoch, Waverill cię potrzebuje.

Jego pracodawca leżał na swojej leżance i wyglądał na sennego. Spojrzał gniewnie na Murdocha, słysząc jego zbliżające się kroki.

— Gdzie byłeś? Chcę drinka.

Murdoch mimowolnie rozejrzał się wokół siebie.

— Czy oni pozwolą panu na niego?

Głos doleciał tym razem spod sufitu.

— Trzydzieści gram stuprocentowego alkoholu, raz na cztery godziny.

— Czy macie coś tutaj? — spytał Murdoch.

— Powiedz nam, gdzie go znaleźć, a my dostarczymy go z waszego statku.

Murdoch opisał im gdzie przechowywane były zapasy trunków na statku i ruszył, aby wyjść przed budynek. Robot był już w mieszkaniu. Pozwolił mu wyjść za sobą na zewnątrz, ale ostrzegł go:

— Odsuń się od bariery.

Murdoch stanął opierając się o ścianę budynku i starając się nie okazywać podniecenia. To był niespodziewany krok naprzód. Obserwował podłoże, kiedy robot przechodził przez barierę. Ciemna linia w ziemi nie zmieniła się. Żwir po obu stronach bariery, pozostał na swoim miejscu. Tak samo nie poruszyły się opierające się o nią rośliny. Ewidentnie, bariera otworzyła się tylko w jednym określonym miejscu, pozwalając na przejście na drugą stronę.

Robot nie miał problemu z otworzeniem włazów i wkrótce wyłonił się ze statku z butelką w jednej ręce. Murdoch znów zaczął się martwić, czy

czasami nie odkrył, że na statku został ustawiony alarm. Jeśli nawet tak się stało, robot, podchodząc do niego, nic nie powiedział. Wręczył Murdochowi butelkę i zniknął we wnętrzu budynku,

Po kilku chwilach Murdoch podążył za nim. Znalazł Waverilla śpiącego, ale odgłos jego kroków obudził starszego mężczyznę.

— Murdoch? Gdzie ten drink?

— Już podaję, proszę pana.

Murdoch wyciągnął lód z lodówki obcych, wrzucił go do szklaneczki, dolewając trochę wody i dopełniając ją żytniówką. Wręczył drinka Waverillowi, a potem nalał sobie szczerze drugiego. Żytniówka nie była jego ulubionym trunkiem, ale może pozwoli mu choć trochę uspokoić nerwy.

— Mmm — stwierdził Waverill. — Od razu lepiej.

Murdoch nie widział na nim żadnych śladów.

— Czy kłuli pana jakimiś igłami, proszę pana?

— Nie płacę ci za wścibstwo.

— Oczywiście, że nie, proszę pana. Chciałem tylko wiedzieć, żeby nie urazić pana w jakieś bolące miejsce.

— Nie mam żadnych bolących miejsc — odparł Waverill. — Chciałbym teraz parę godzin się przespać, a więc idź sobie stąd. Potem będę chciał stek i pieczone ziemniaki.

— Oczywiście, proszę pana.

Murdoch znowu wyszedł na zewnątrz i krążył po terenie, nie dowiadując się niczego nowego. Podszedł do bariery i przez chwilę przyglądał się statkowi. Potem, aby otrząsnąć się z napięcia, udał się do sali gimnastycznej i urządził sobie lekki trening. Wziął prysznic, zajrzał do Waverilla, stwierdził że tamten ciągle śpi, a więc odwiedził bibliotekę. Wszystkie książki i taśmy były terrańskie, nie dostarczyły mu żadnych wskazówek na temat obcych. Muzeum także nie było w tym specjalnie pomocne. Poczuł ulgę, kiedy usłyszał wołanie Waverilla.

W spiżarni znalazł steki i ziemniaki. Waverill gderał, że musi czekać aż Murdoch przygotuje posiłek. Starszy mężczyzna ciągle wyglądał na lekko sennego, ale miał dobry apetyt. Po jedzeniu znowu chciał odpoczywać.

Murdoch trochę jeszcze pospacerował, a następnie zmusił się do tego, by usiąść w bibliotece i udawać, że czyta. Bez przerwy, w kółko, wałkował w myślach swoje plany.

Były one niezbyt mocno sprecyzowane. Musiał w ciągu następnego dnia czy dwóch, zdobyć jakoś kroplę krwi Waverilla, i przemycić ją przez barierę. Potem pozostawało już tylko dostać się na statek, uciec z Ganimedesa i wstrzyknąć ją sobie. Problemy jakie miał Waverill nie martwiły go. Będzie musiał walczyć z sennością, ale opierając się na harmonogramie występowania symptomów Waverilla, powinien być w stanie opracować plan lotu, pozwalający mu na spanie.

Czas ciągnął się niesamowicie. „Popołudniu" wypił dwa kolejne drinki, urządził sobie następną sesję ćwiczeń, zrobił kilka kółek wokół budynku, aż w końcu zobaczył, że imitujące słońce lampy zaczynają ciemnieć. Potem, przez długi czas leżał w łóżku, próbując zmusić się do tego, aby się odprężyć. W końcu udało mu się zasnąć.

III

Obudził się ponownie z pierwszym światłem; wstał i niespokojnie udał się do spiżarni. Po kilku minutach usłyszał, że Waverill się poruszył.

— Murdoch! — dobiegł głos starszego mężczyzny.

Murdoch poszedł do niego.

— Tak, proszę pana. Właśnie zajmuję się przygotowaniem śniadania.

— Widzę światło!

— Pan… to wspaniale, proszę pana!

— Widzę światło! Do diabła, gdzie jesteś? Zabierz mnie na dwór!

— Tam nie jest jaśniej niż tutaj, proszę pana.

Murdoch czuł konsternację. Liczył na jeszcze jeden dzień, zanim Waverillowi zacznie wracać wzrok; co dawałoby mu szansę na zorganizowanie jakiejś potłuczonej szklanki, noża na drodze Waverilla, czegoś co wywołałoby u niego krwawienie na skutek upozorowanego wypadku. Teraz zaś…

— Zabierz mnie na dwór!

— Tak jest, proszę pana. — Murdoch z mętlikiem w głowie wyprowadził starszego mężczyznę.

Drzwi rozsunęły się przed nimi i Waverill przecisnął się przez nie. Kiedy stąpnął gołą nogą na żwir, zawołał:

— Auć! Niech to diabli!

— Proszę ostrożnie stawiać nogi, bo się pan zrani — Murdoch nagle poczuł szaloną nadzieję, że Waverill skaleczy sobie stopę o jakiś ostry kamyk. Ale tutaj nie było ostrych kamyków; wszystkie były zaokrąglone, a niewielka grawitacja czyniła takie zdarzenie jeszcze mniej prawdopodobnym.

Waverill uniósł głowę i wykręcił ją w bok.

— Widzę jasne miejsca, tam w górze.

— To imitujące światło słoneczne lampy kwarcowe, proszę pana. Robią się coraz jaśniejsze.

— Widzę, gdzie one są. — Głos starszego mężczyzny wyraźnie drżał. Popatrzył w stronę Murdocha. — Ale ciebie, nie widzę.

— To stopniowo powróci, proszę pana. Może zje pan teraz śniadanie?

Waverill powiedział mu, co może sobie zrobić ze śniadaniem.

— Chcę zostać tu, na dworze. Jak jasno jest teraz? Czy już jest tak jak w środku dnia?

— Nie proszę pana. To zajmie jeszcze parę chwil. Poczuje pan to na skórze.

Murdoch aż się spocił ze strachu, że wzrok jego towarzysza będzie się poprawiał zbyt szybko. Rozejrzał się wokół siebie, w poszukiwaniu ostrego kantu, jakieś gałęzi w którą mógłby wmanewrować starszego mężczyznę. Niczego nie znalazł.

— Co to za słodki zapach? — chciał wiedzieć Waverill.

— Kwiaty, proszę pana. Alejki do spacerowania otoczone są ukwieconymi żywopłotami.

— Będę mógł znowu oglądać kwiaty. Będę… — Starszy mężczyzna opanował się, jakby zawstydzony. — Powiedz mi, jak wygląda to miejsce?

Murdoch zaczął opisywać otaczający ich teren, jednocześnie prowadząc powoli Waverilla zakrzywionym chodnikiem. Gdzieś przecież, pomyślał sobie, musi znaleźć się coś ostrego, na co uda mi się go władować. Przez głowę przebiegł mu szaleńczy pomysł, wmanewrowania go biegiem na ścianę, ale zakrwawiony nos byłby zbyt oczywisty.

— Teraz poczułem też ciepło — powiedział Waverill, — i mogę powiedzieć, że te lampy są zdecydowanie jaśniejsze.

Wykręcał głowę w różne strony i mrużył oczy, eksperymentując z na nowo odzyskanymi śladami wzroku.

Murdoch ciągnął dalej rozmowę, poświęcając jej tylko połowę uwagi, a jednocześnie w jego głowie kłębiły się myśli. Zdawał sobie sprawę, że musi oprzeć się uczuciu, iż tutaj, na tyłach budynku jest bezpieczniej. Wszędzie będą ich obserwować. Szkoda, że nie był w stanie zaciągnąć Waverilla do środka; pod przykrywką śniadania może udałoby mu się coś zaimprowizować. Zaczynam się pocić, pomyślał. Może to tylko działanie tych cholernych lamp, ale jestem cały mokry. Muszę…

Wciągnął ostro powietrze. Skądś dobiegło do niego brzęczenie pszczoły. Cały jego umysł podskoczył na ten dźwięk. Zatrzymał się jak wryty, a Waverill zapytał zdziwiony:

— Co się z tobą dzieje?

— Nic. Ja… tylko nastąpiłem na jakiś duży kamyk.

— Dla mnie wszystkie wydają się bardzo duże. To oburzające; człowiek wyjdzie na dwór… — Głos Waverilla zamarł, kiedy zaczął ponownie eksperymentować ze swoim wzrokiem.

Słychać było kolejne pszczoły i niebawem Murdoch zobaczył jak jedna z nich przelatuje nad krawędzią dachu budynku i rozpoczyna poszukiwania wzdłuż żywopłotu. To tylko pierwsza z nich, pomyślał. Zaraz pojawią się następne. Powiódł wzrokiem po żywopłocie. Większość z kwiatów tak naprawdę nie zamknęła się na noc, chociaż płatki miały ściągnięte razem. Szedł tak powoli, jak tylko się ośmielił. Brzęczenie zbliżyło się denerwująco, a potem oddaliło.

Pojawiło się drugie brzęczenie. Usłyszał jak owad przelatuje gdzieś koło nich, a następnie dojrzał go kątem oka.

Waverill zatrzymał się.

— Czy to jest pszczoła? Tutaj?

— Myślę, że trzymają je tutaj do zapylania roślin, proszę pana.

— Denerwują mnie. Nie potrafię określić, gdzie one są.

— Będę na nie uważał, proszę pana.

Teraz widział już owada wyraźnie i pomyślał, że ma niezłą wymówkę, żeby mu się dobrze przyjrzeć. Brzęczenie zmieniło wysokość tonu, gdy pszczoła przysiadła na kwiatku, potem zmieniło się ono ponownie, kiedy

pszczoła odleciała kilka stóp dalej. Murdoch zacisnął zęby z frustracji. Próbował otrzeć wolną dłoń o miejsce w którym powinny znajdować się spodnie i stwierdził, że udo miał również mokre od potu. Pomyślał, że Waverill z pewnością musi czuć jak bardzo spocona jest jego ręka.

Pszczoła zaczęła krążyć koło kolejnego kwiatu, po czym usiadła na jego płatkach. Z napięciem Murdoch subtelnie przesunął Waverilla w stronę tego miejsca. Widział wyraźnie każdy ruch nóg owada, który wsuwał się do kielicha kwiatu.

— Teraz pewnie będzie pan mógł już poczuć zapach kwiatów, proszę pana. — Czuł ogromną suchość w gardle i wydawało mu się, że jego głos brzmi dziwnie. — Robi się coraz cieplej, co zwiększa intensywność zapachów, jak mi się wydaje. — Zatrzymał się i próbował opanować drżenie i skurcze ręki. — To jasnoniebieski kwiat, proszę pana. Czy widzi go pan?

— Ja… nie jestem pewien. Natomiast widzę jakieś jasne miejsce, nieco nad moją głową i prosto przede mną.

— To odbicie światła od lodu, proszę pana. Kwiat jest tu, na dole.

Wstrzymując oddech wziął dłoń Waverilla i przesunął ją w stronę kwiatu. Czekał skrzywiony i niemalże zgrzytając zębami, podczas gdy palce Waverilla macały delikatnie wokół kwiatu.

Pszczoła wysunęła się ze środka, ewidentnie nie zdając sobie sprawy z tego, że dzieje się coś niezwykłego i odleciała parę cali na bok. Usiadła na liściu i zaczęła doprowadzać do porządku swe nogi.

Murdoch poczuł, że ma ochotę wrzeszczeć.

Palce Waverilla przerwały prowadzone badania, ale po chwili, ponieważ pszczoła zachowywała zupełną ciszę, podjęły je ponownie. Waverill nachylił się, aby zbliżyć chore oczy do dłoni.

Drżąc z niepokoju, Murdoch wykonał kilka niepozornych ruchów prawą dłonią, dzięki którym wyciągnął niewielki przedmiot schowany między kciukiem i palcem wskazującym. Czuł prawie paniczne pragnienie pośpiechu, ale zmusił się do bardziej powolnych ruchów. Przełożył malutką strzykawkę do lewej ręki, znajdującej się bliżej Waverilla. Waverill miał właśnie zerwać kwiat. Murdoch wysunął prawą rękę do przodu, próbując – na wypadek, gdyby obcy przyglądali się temu, chociaż starał się zasłaniać widok ciałem – aby ruch ten wyglądał jak najbardziej swobodnie i przypadkowo. Pstryknął palcem w pobliżu pszczoły.

Pszczoła wystrzeliła w powietrze, z głośnym, wysokim brzęczeniem. Waverill spiął się.

Murdoch krzyknął:

— Niech pan uważa, proszę pana!

I złapał Waverilla za dłoń. Wbił miniaturową strzykawkę w mięsistą część dłoni, od zewnętrznej strony, tuż poniżej nadgarstka.

— Do diabła! — ryknął Waverill, uderzając lewą dłonią w prawą. Odsunął się szarpnięciem od Murdocha.

— Jestem tutaj, proszę pana! Niech pan da, pomogę panu!

— Wynoś się ode mnie, ty niezdarny głupcze!
— Proszę, panie Waverill. Niech mi pan pozwoli wyciągnąć żądło. Wyciśnie pan tylko sobie więcej jadu w skórę.
Waverill odwrócił się w jego stronę z ręką uniesioną, jakby do uderzenia. Po chwili opuścił ją.
— No dobrze, cholera jasna; tylko zrób to ostrożnie.
Murdoch drżącą ręką wziął dłoń Waverilla. Wystająca ze skóry strzykawka zawierała w malutkiej plastikowej bańce ślad czerwieni. Murdoch odetchnął głęboko i spróbował zmusić swoje palce do działania. Zdołał jakoś uchwycić strzykawkę i wyciągnąć ją. Udając, że rzuca żądło na ziemię, ukrył ją między wskazującym i środkowym palcem lewej dłoni. Przez cały czas osłaniał się ciałem od strony budynku i próbował zachowywać się jak najbardziej przekonująco.
— Proszę. Już je wyciągnąłem, proszę pana.
Waverill nadal klął pod nosem. Po chwili przestał, ale twarz miał stężałą w gniewie.
— Zabierz mnie do środka.
— Tak jest, proszę pana.
Odreagowanie powodowało, że Murdoch poczuł słabość w nogach. Złapał niemal bolesny oddech, podał starszemu mężczyźnie lewe ramię i zaprowadził go z powrotem.
Malutki przedmiot między palcami wydawał mu się równie duży i rzucający się w oczy, co pistolet.

IV

Murdoch czuł się, jakby całe to miejsce wypełnione było szpiegującymi ich oczyma, których spojrzenia skupiały się na jego lewej dłoni. W oczywisty sposób popełnił akt kradzieży, stawiając na szali swoje życie. Poczuł jak wzbierają w nim lodowate mdłości strachu; znajome uczucie, które potrafił kontrolować, ale którego mimo wszystko nie znosił. Strach. To dziwna rzecz, pomyślał. Osobliwe uczucie. Jeśli już je tak przeanalizować, to sprowadzało się ono do wrażenia fizycznych mdłości, oraz pragnienia w umyśle, zazwyczaj bardzo palącego pragnienia, aby znaleźć się gdziekolwiek indziej. Czasami, jeśli strach chwycił cię dostatecznie mocno, potrafił być niemal paraliżujący, tak że twoje członki, a nawet płuca zdawały się odmawiać posłuszeństwa. Zawsze kiedy chwytał go strach, wracał wspomnieniami do tego punktu zwrotnego, tego czynu, który postawił go poza prawem i wygnał go z Ziemi.
Był pilotem w Siłach Kosmicznych, młodym, tuż po ukończeniu Akademii, a łapówka wydawała się olbrzymia, zaś przestępstwo tak niewielkie. Teraz, wydawało się to takie naiwne, że nie pojął iż oszustwo musiało być po prostu częścią tej całej sytuacji.
Dzięki ucieczce wbrew wszelkim przeszkodom, wbrew szansom tak niewielkim, że wręcz niepoliczalnym, zorientował się iż potrafi myśleć

szybciej i bardziej przenikliwie niż inni ludzie, oraz iż ma ikrę. Posiadanie ikry, okazało się być czymś zupełnie innym, niż sobie to wcześniej wyobrażał. To wcale nie chodziło o to, żeby umieć stać spokojnie z szerokim uśmiechem na twarzy, podczas gdy wszyscy wokół szaleją ze strachu. To znaczyło, że człowiek cierpi na wszystkie objawy paniki, odczuwa rzeczywiste fizyczne męczarnie, takie jak inni, ale jakoś potrafi złapać za broń; przyjąć ciosy i ciągle w zakamarkach swego jestestwa znaleźć na tyle dużo odwagi, żeby wyprowadzić kontruderzenie, albo wymyślić jakiś sposób wyjścia z sytuacji. I to właśnie teraz musiał zrobić. Przetrwać strach i zachować odwagę.

Robot niemal natychmiast odpowiedział na głośne skargi Waverilla. Rzucił ledwie okiem na dłoń starszego mężczyzny, oznajmił „Do wesela się zagoi" i wyszedł. O ile Murdoch mógł powiedzieć, na niego nawet nie spojrzał.

Kiedy tylko się ośmielił, poszedł do łazienki i wziął prysznic. Namydlając się przysunął strzykawkę do kieszeni w skórze, między kciukiem i palcem wskazującym lewej dłoni. W tej skrytce, znajdowała się niewielka plastikowa sfera, przechowująca substancję, która powinna stanowić pożywkę dla wirusa. To była delikatna operacja, ale miał ją dobrze przećwiczoną, zaś palce znajdowały się już w pełni pod jego kontrolą; wbił więc czubek igły strzykawki w tę sferę i wycisnął do środka zawartość. Zwolnił nacisk, poczuł jak bańka powoli wraca do swoich kształtów, wciągając odrobinę gumowatej substancji. Wcisnął ją z powrotem do wnętrza zbiorniczka, pozwolił aby woda z prysznica obmyła strzykawkę i schował ją ponownie do kieszeni w skórze prawej dłoni.

Nie ośmielił się jej wyrzucić. Zawsze istniała możliwość jakiegoś niepowodzenia, a wtedy można było wykonać drugą próbę, chociaż rezerwy czasowe czyniły ją bardzo problematyczną. Jeśli operacja poszła dobrze, kieszenie w jego dłoniach wyłożone były nieprzenikliwą substancją, tak więc ani jeden wirus nie powinien zbyt szybko przedostać się do jego krwioobiegu. Bardzo starannie namydlił się i spłukał całe ciało, a następnie osuszył się w nawiewie ciepłego powietrza. W tej chwili nie czuł ani strachu, ani uniesienia. Raczej był znużony i z obawą oczekiwał stojących przed nim dalszych wyzwań. Następnym istotnym krokiem było przeniesienie sfery przez barierę, przed czasem odlotu. Był niemal pewien, że nie uda mu się przeszmuglować jej wewnątrz własnej osoby. Końcowe badania wykonywane przez obcych i sterylizacja, musiały temu zapobiec.

Teraz, rozpoczęły się męczarnie wyczekiwania na możliwość wykonania następnego kroku. Nie był w stanie uporządkować sobie tego wszystkiego na tyle, aby przewidzieć z kilkugodzinnym wyprzedzeniem, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila. Może będzie to za godzinę, a może za dziesięć. Wirus spoczywał w jego organizmie. Udało się tego dokonać, ale mogło być za późno, albo jego łup mógł jeszcze zostać przejęty. Przygotował posiłek dla Waverilla i dla siebie, denerwował się przez cały okres oczekiwania między posiłkami, i przyrządził następny. Włóczył się od

biblioteki do sali gimnastycznej, wychodził na zewnątrz, walcząc nieustannie z pragnieniem by stanąć przed barierą i gapić się na statek.

Robot przebadał Waverilla i wyjawił tylko tyle, że wszystko idzie dobrze. Waverill większość czasu spędzał na podnoszeniu do oczu różnych przedmiotów, a następnie mrużąc powieki i wykrzywiając twarz, karmił się ekstazą powolnego powrotu wzroku. Kiedy nadeszła ciemność, starszy mężczyzna zasnął. Murdoch leżał w swoim łóżku, przewracając się z boku na bok, albo drzemał niespokojnie, dręczony pokręconymi snami.

Kiedy na statku rozległ się alarm, w pierwszej chwili nie wiedział, czy to była rzeczywistość, czy kolejny sen.

Jego umysł nie potrafił jakoś otrząsnąć się ze snu i kiedy usiadł w końcu na łóżku, usłyszał dolatujące sprzed budynku odgłosy. Nagle, bojąc się, że może być już za późno, wyskoczył z pościeli i pobiegł w tamtą stronę. Robot był już na dworze. Odwrócił się do niego, sprawiając wrażenie pośpiechu.

— Co to jest.

Murdoch próbował udawać zaskoczenie.

— To alarm na statku! Coś leci w naszą stronę! Może ziemski Patrol!

— Dlaczego zostawiliście włączony alarm?

— My… ja… zapomniałem go w pośpiechu wyłączyć.

— To była niebezpieczna głupota. W jaki sposób alarm jest zasilany?

— Ma własne zasilanie. Ładowalne baterie.

— Macie szczęście, że to tylko jakiś martwy wrak, dryfujący w pobliżu, w przeciwnym razie natychmiast musielibyśmy się was pozbyć. Zostań tu. Ja go wyłączę.

Murdoch przez chwilę udawał, że protestuje, a potem stał obserwując odchodzącego robota. Jego ręce rozłożyły się w czymś, co jak miał nadzieję, wyglądało na gest rezygnacji. Wydostał plastikową sferę z jej schowka i pieścił ją w palcach jak najcenniejszy klejnot. Wstrzymał oddech. Robot przeszedł barierę. Murdoch rzucił sferę, jego śladem. Widział jak łagodnym łukiem przeleciała za linię, odbiła się raz i zniknęła gdzieś w żwirze. W słabym świetle wiszącego nisko nad horyzontem Jowisza, nie potrafił jej odnaleźć. Rozpaczliwie usiłował wbić sobie w pamięć położenie miejsca w którym upadła, względem żywopłotu. Kiedy wraz z Waverillem będą stąd odlatywać, będzie miał mało czasu na jej odnalezienie.

Robotowi nie zajęło zbyt długo znalezienie sposobu na otworzenie włazów statku, wejście przez śluzę do środka, oraz odnalezienie alarmu. Wycie syreny urwało się w pół tonu. Robot wrócił i ruszył w jego stronę. Murdoch mimowolnie cofnął się, opierając się plecami o ścianę budynku, zastanawiając się czy robot (albo jego panowie) poprawnie wydedukowali wszystko swoimi nieziemskimi zmysłami, i czy w następnej chwili nie uderzy w niego szybka kara. Ale robot ominął go w milczeniu i zniknął we wnętrzu.

Po chwili wszedł za nim do środka, położył się na swojej leżance i ponownie rozpoczął niespokojne oczekiwanie.

Następnego dnia rano, kiedy przygotowywał śniadanie, Waverill przez cały czas wodził za nim wzrokiem. W jego oczach widać było życie i rozum. Mężczyzna wyglądał również znacznie młodziej, miał w sobie więcej energii.

Murdoch, starając się aby nie zabrzmiało to nerwowo, zapytał:

— Czy dzisiaj widzi pan lepiej, proszę pana?

— Trochę. Posadź mnie tak, żeby światło padało na mój talerz.

Murdoch obserwował próby swego towarzysza, aby jeść wykorzystując raczej wzrok niż dotyk, dodając w myślach do swego założonego harmonogramu wydarzeń, czas niezbędny na pełne wyzdrowienie starszego mężczyzny. Widać było, że Waverill widzi swój talerz, ale nie dostrzega szczegółów rozłożonego na nim jedzenia. Senność jednak już mu minęła. Ruchy miał sprawne, chociaż nie do końca skorelowane ze wzrokiem. Czasami widać było również, że jego oczy mają pewne niewielkie problemy z koordynacją. Bez wątpienia przywrócenie odruchów, utraconych w trakcie wielu lat ślepoty, będzie wymagało trochę czasu.

Przez cały późniejszy poranek, Waverill chodził po terenie sam. Murdoch trzymał się od niego na tyle daleko, żeby nie ściągnąć na siebie reprymendy. Wykorzystał więc tę możliwość, żeby wypatrzyć swój malutki skarb w żwirze za barierą. Kiedy już go znalazł, okazało się że był niepokojąco dobrze widoczny. W tej chwili, jednak, nie mógł z tym nic zrobić. Znów zaczął się denerwować i miał tylko nadzieję, wznosząc na wpół modlitwy do Losu, że jego nerwy po raz kolejny nie pójdą w strzępy.

Zrobił lunch, a potem zabrał się za ciężką robotę przeczekania popołudnia. Całe wieki później przygotował kolację. Udało mu się zjeść większą część swojego steku, zazdroszcząc Waverillowi wilczego apetytu, zmieniającego jego posiłek w szybką przekąskę.

Długa noc wreszcie jakoś uległa zakończeniu i z ochotą zajął się tym niewielkim zadaniem zrobienia śniadania.

Poczuł się niemal nierealnie, kiedy głos obcego oznajmił:

— Nie zajmujcie się zmywaniem naczyń. Połóżcie się na swoich łóżkach w celu końcowego badania. Kiedy się obudzicie, będziecie mogli odlecieć.

Idąc powoli do swojej leżanki, czuł jak po jego ciele rozchodzi się fala strachu. Pomyślał: Jeżeli mają mnie złapać, to właśnie teraz mnie zabiją. Bał się, nie było co do tego żadnych wątpliwości; obecne były wszystkie dobrze znane mu symptomy. Ale, co dziwnie, w jego myślach pojawił się także ślad perwersyjnego zadowolenia: Może jestem zgubiony. Może już nigdy się nie obudzę. Uderzył go atak zawrotów głowy. Zapamiętał jeszcze swój krótki, słaby wysiłek, żeby im się oprzeć, a potem ześlizgnął się w ciemność.

Obudził się ciągle z zawrotami głowy i uczuciem oszołomienia lekarstwami. Zaschło mu w ustach. Początkowo z trudem łapał oddech. Spróbował otworzyć oczy, ale powieki były za bardzo sztywne. Poświęcił kilka chwil na uregulowanie oddechu, potem był już w stanie odrobinę rozchylić powieki. Kiedy podniósł się w łóżku, nastąpił atak nudności.

Siedział na brzegu łóżka, ze zwieszoną głową, dopóki nie osłabły. Stopniowo czuł się coraz mocniejszy.

Waverill także z trudem się podnosił, wyglądając wcale nie lepiej niż Murdoch. Jednak, wydawało się że szybciej odzyskuje siły. Murdoch pomyślał: „Tak naprawdę, to w tej chwili on jest bardziej zdrowy niż ja. Mam nadzieję, że nie zmienił się w jakiegoś supermena".

Głos spod sufitu oznajmił:

— Wasze ubrania są w sąsiednim pomieszczeniu. Ubierzcie się i natychmiast odlatujcie. Bariery zostaną dla was otworzone.

Murdoch wstał i skierował się do drugiego pokoju. Zatrzymał się na chwilę, żeby przepuścić przed siebie Waverilla, i zauważył że Waverill nie ma problemu ze znalezieniem drzwi. Starszy mężczyzna nie rozmawiał z nim dzisiaj rano, a radość jaką musiał czuć z odzyskania wzroku manifestował na zewnątrz tylko w formie pełnego napięcia uśmiechu.

Szybko się ubrali, Murdoch zauważył w trakcie tej czynności, że ubrania zostały dokładnie przeszukane, zaś cała broń zniknęła. Było to nieważne. Ale ważne było, żeby jakoś zabrać swoją nagrodę po drodze na statek, tak więc nerwowy niepokój nadal go trzymał.

Kiedy wyszli za drzwi Waverill stanął i powiódł wzrokiem po całym terenie. Jaki opanowany z niego człowiek, zauważył Murchison. Ani słowa. Ani śladu targających nim emocji.

Waverill odwrócił się i ruszył w kierunku statku. Murdoch pozwolił mu wyprzedzić się o krok. Jego wzrok nieustannie przeszukiwał żwir. Przez moment czuł falę panicznego wrażenia, że kapsuła zniknęła; potem jednak dostrzegł ją. Będzie musiał trochę zmienić kierunek swojego marszu, żeby do niej podejść. Zauważył, że Waverill zawahał się lekko, kiedy przekraczali barierę, później sam również poczuł coś dziwnego. Szedł jednak dalej, próbując tak wyliczyć krok, by postawić lewą stopę na kapsule. Udało mu się to zrobić.

Z nerwami napiętymi do granic wytrzymałości, zatrzymał się i na wpół odwrócił, tak jakby chcąc po raz ostatni popatrzeć na budynek. Wyczuwał niewielką wypukłość sferycznej kapsuły; albo może był to tylko jakiś wbity w ziemię kamień. Przekręcił stopę. Zdawało mu się, że czuje, jak coś pęka i zostaje zgniecione. Zawahał się, dręczony wątpliwościami, czy iść dalej, czy upewnić się, upuszczając coś i udając że to podnosi. Nie miał jednak niczego, co mógłby upuścić. Pomyślał: „Muszę iść dalej, bo zaczną coś podejrzewać". Odwrócił się z powrotem. Waverill również stanął i uważnie mu się przyglądał. Murdoch opanował się, utrzymując kamienną twarz i ruszył dalej.

Waverill musiał trochę pomacać rękoma, wchodząc na statek, tak jakby jego ręce ciągle jeszcze nie do końca współpracowały ze wzrokiem, ale jasne było, że widzi dobrze, nawet w półmroku wnętrza statku. Murdoch powiedział:

— Pańskie oczy wydają się być w zupełnym porządku, proszę pana.

Waverill nawet teraz był w pełni opanowany.

— Jeszcze nie do końca się zsynchronizowały, i muszę poeksperymentować trochę ze skupianiem wzroku. Ale, to powróci z czasem.

Podszedł swobodnie do swojego fotela i rozsiadł się w nim wygodnie.

Murdoch usiadł w fotelu pilota.

— Lepiej niech pan zapnie pasy, proszę pana.

Nie musiał specjalnie się zastanawiać, jak zostaną odesłani; statek uniósł się nad ziemię i po prostu przeszedł przez to, co służyło jako sklepienie, cokolwiek by to nie było.

Nie było żadnych problemów, kiedy Murdoch włączył grawy i przejął sterowanie. Odleciał w stronę północnego bieguna Ganimedesa, powoli nabierając wysokości, uważnie obserwując ekrany i przysłuchując się rozmaitym szmerom i jękom, wydawanym przez powracający do życia statek. Radar miał pozostać martwy, dopóki nie oddalą się od Ganimedesa, ale system optyczny nie pokazywał niczego niebezpiecznego. Odleciał dalej od księżyca, trzymając się między nim a Jowiszem.

— Zatrzymaj statek tutaj — oznajmił Waverill.

Pozwalając, by statek leciał dalej na automatyce, Murdoch odwrócił się z udawanym zaskoczeniem.

— Co się…

Waverill trzymał w ręku pistolet energetyczny, wycelowany prosto w niego.

— Podam ci teraz kurs.

Murdoch płynnie sięgnął ręką w dół, za oparcie fotela pilota. Pod jego palcami otworzyła się skrytka i po chwili uniósł swoją własną broń.

Waverill zacisnął mocno usta i nacisnął spust. Nic się nie stało. Waverill obrzucił wzrokiem swoją broń. Przez twarz przebiegła mu fala wściekłości. Podniósł pistolet, jakby miał nim zamiar rzucić, ale powstrzymał się gdy Murdoch uniósł nieco wyżej swoją własną broń.

— Dotarłeś do nich — stwierdził stanowczo Waverill.

— Do tych, którzy przebudowali to pudło i schowali tę broń dla pana? Oczywiście. Czy pan myślał, że ma pan do czynienia z idiotą?

— Mógłbym przysiąc, że byli poza twoim zasięgiem.

— A jednak dotarłem do nich. — Murdoch odpiął się i wstał z fotela. Utrzymywał przyśpieszenie statku dokładnie na takim poziomie, na jakim chciał. — I, naturalnie, dokładnie sprawdziłem statek, kiedy pan był ślepy. A teraz, niech pan wskakuje w swój skafander, Waverill.

— Dlaczego?

— Dam panu lepszą szansę, niż pan miał zamiar dać mnie. Zostawię pana w miejscu, w którym bez trudu znajdzie pana Patrol.

— Nie zrobisz tego, ty sukinsynu. Pozostały mi jeszcze pewne atuty.

— Wiem gdzie zaplanował pan spotkanie. Do czasu kiedy wykupi się pan z więzienia, będę już poza pańskim zasięgiem.

— Nigdy nie będziesz.

— Jeszcze parę takich twardych słów i może zdecyduję się od razu pana zabić.

Waverill przez chwilę studiował jego twarz, a potem powoli podniósł się na nogi. Podszedł do szafki ze skafandrami, wyciągnął swój kosmiczny

strój i wcisnął się w niego. Murdoch wyszczerzył wesoło zęby, kiedy zobaczył rozczarowanie na twarzy swojego towarzysza. Broń ze skafandra także zniknęła.

Murdoch polecił:

— Proszę się zapiąć, założyć na głowę hełm i wejść do śluzy powietrznej.

Waverill, z twarzą wykrzywioną nienawiścią, powili wykonał polecenie. Murdoch zamknął wewnętrzny właz za starszym mężczyzną, a potem włączył interkom.

— A więc tak, panie Waverill. Z pewnością zauważy pan, że jesteśmy zdecydowanie za daleko na powrotny skok na Ganimedesa. Poświęcę teraz jakieś czterdzieści minut na zajęcie orbity, która da panu dobrą szansę ratunku. Kiedy powiem panu, żeby pan wyskoczył, może pan to zrobić, albo zostać sobie tam gdzie pan jest. Jeżeli pan zostanie, skierujemy się w inną stronę i będę musiał pana zabić, dla swego własnego bezpieczeństwa.

Zostawił otwarty kanał i aktywował kamerę monitoringu, tak by mógł widzieć wnętrze śluzy. Waverill opierał się o wewnętrzny właz, starając się zachować tyle ciepła, ile tylko był w stanie.

V

Murdoch ustawił szybki program lotu, poczekał chwilę, aby oddalić się bardziej od Ganimedesa i obcych, a potem włączył przeszukiwanie radarowe i ustawił alarm. Rozpiął lewy but, zdjął go z nogi i stał, przyglądając się mu, niemalże bojąc się odwrócić go podeszwą do góry.

Potem powoli go przekręcił. Na podeszwie widać było wyraźnie kleiste miejsce. Mięśnie wokół jego brzucha były tak bardzo napięte, że aż go rozbolały. Pośpieszył do szafki medycznej statku, wyciągnął odpowiednio wybrany pakiet bandaży i rozerwał go drżącymi palcami. W środku schowany był mały flakonik. Odkorkował go i wylał jego zawartość w odpowiednim miejscu na podeszwę buta.

Pozwolił kleistemu miejscu nasiąknąć płynem, sam zaś w tym czasie pobiegł sprawdzić panel pilota i pośpieszył z powrotem. Przy pomocy sondy podgrzał ciecz na podeszwie wokół kleistego miejsca i poczekał kolejną chwilę. Potem zeskrobał co się dało do flakonika i popatrzył przez niego pod światło. W środku widać było parę skrawków podeszwy buta, ale żaden z nich nie był na tyle duży, aby musiał się nim przejmować. Wyjął strzykawkę i wciągnął do niej trochę płynu z flakonu. Igła zapchała się. Zaklął pod nosem, wystrzyknął odrobinę, aby ją przeczyścić i wciągnął jeszcze trochę.

Podwinął sobie lewy rękaw, popatrzył przez chwilę na żyłę w zgięciu łokcia, złapał głęboki oddech i wbił w nią igłę. Trafił już za pierwszym razem. Bardzo uważał, żeby nie wtłoczyć sobie do żyły nawet odrobiny powietrza.

Westchnął, wstrzyknął resztę płynu z powrotem do flakonika, zakorkował go i umył igłę. Potem przycisnął sobie do ręki wacik i przeszedł na fotel pilota. Teraz, kiedy wszystko już zostało zrobione, poczuł ogromne zmęczenie.

Sprawdzenie skanu otoczenia nie ujawniło żadnego niebezpieczeństwa. Waverill nawet się nie ruszył. Murdoch otworzył już usta, żeby coś do niego powiedzieć, ale zrezygnował z tego. Zgiął rękę w łokciu, stwierdzając, że niemal przestała go boleć, a następnie pochylił się znowu nad swoim programem lotu. Dokonał niewielkiej korekty. Przyśpieszenie było na poziomie tuż powyżej g, co powodowało u niego lekkie oszołomienie. Zastanawiał się, czy może zaryzykować drinka. Waverillowi jakoś nie zaszkodził. Podszedł do małego zlewu i szafki służącej za kambuz, nalał sobie jednego głębszego do szklaneczki i zmieszał zawartość ze skondensowanym mlekiem. Zabrał drinka ze sobą na fotel pilota, nie przejmując się uprzężą do przypinania się w stanie nieważkości, i wypił go powoli.

Zbliżał się już czas pozbycia się Waverilla.

Sprawdził ponownie kurs, a następnie włączył mikrofon.

— No dobrze, panie Waverill. Załatwmy tę sprawę. Powinni pana znaleźć w ciągu dziewięciu, dziesięciu godzin.

Waverill nie odpowiadał, ale światełka na panelu wskazywały, że zainicjowano procedurę otwierania zewnętrznego włazu. Przez kamerę monitoringu Murdoch widział gwiazdy wypełniające powoli odsuwającą się pokrywę. Waverill wyskoczył, bez chwili wahania. Murdochowi podobała się odwaga starszego mężczyzny i miał nadzieję, że wszystko się dla niego dobrze skończy.

Zamknął właz i wprowadził nowe dane do autopilota. Wcisnęło go w fotel, kiedy statek ruszył energicznie nowym kursem, ale po chwili ciężar zelżał pod działaniem stałego przyśpieszenia do przodu. Był już gotów do zatoczenia pętli wokół innego z księżyców Jowisza, i dalej wokół samej gigantycznej planety, wchodząc na kurs, który powinien uniemożliwić podążanie za nim, chyba że ktoś go przewidział z góry.

Zgiął rękę. Teraz bolała go odrobinę bardziej. Czuł też, że zaczyna morzyć go sen. Nie chciał polegać wyłącznie na pilocie automatycznym, dopóki nie wydostanie się bezpiecznie z okolic Jowisza; gdyby po drodze trafił się jakiś meteor albo wrak, bezpieczna zmiana kursu na nowy, mogła wymagać ludzkiej inteligencji.

Obecnie miał już włączone wszystkie urządzenia radarowe. Przeczesywanie rozciągającego się przed nim stożka przestrzeni, pokazywało tylko ogromną kulę Jowisza po jednej ze stron; w kosmosie nie było widać żadnych obiektów. Trzy ekrany radarowe, z promieniami poruszającymi się dookoła przez przekroje sfery kosmosu wokół statku, w trzech poszczególnych płaszczyznach, mrugały i przygasały, pokazując tylko rozbłyski gdzieś w oddali, ale żadnych znajdujących się blisko środka wyświetlacza.

Pomyślał sobie: „Udało mi się. Wydostałem się stamtąd, razem z tym czego szukałem i powinienem szaleć z radości.” Ale zamiast tego, czuł tylko zmęczenie. Zebrał siły: „Muszę się podnieść i napełnić termos kawą. Potem będę mógł sobie tutaj posiedzieć.”

Odpiął pas i zaczął się podnosić. Wtedy jego wzrok padł na jeszcze jeden ekran radarowy.

Ten konkretny skaner był rzadko używany w kosmosie; służył raczej do lądowania na planetach. Dawał obraz z przodu, w wąskim, poziomym pasie, podobnie jak radar przeczesujący powierzchnię wody na tradycyjnym statku morskim. Planował jego użycie dopiero w trakcie przejścia koło Jowisza, aby ściąć kurs bardzo blisko atmosfery, i tylko siłą przyzwyczajenia rzucił na niego wzrokiem w tej chwili. Jasna zielona linia nie wykazywała żadnych wysokich pików, ale pośrodku i kawałek w obie strony od tego środka widać było na niej bardzo malutkie nierówności.

Pomyślał: „To tylko coś w systemie, coś niemożliwego do korekty”. Popatrzył na przedni radar. Na wprost przed nim nie było widać żadnych rozbłysków. Poruszył kontrolkami strojenia poziomego radaru, rozmywając wskazywaną przez niego linię, a potem ponownie ją wyostrzając. Udało się, poza samym środkiem. Rozmyta mgiełka tam pozostała.

Otworzył panel i wprowadził polecenie wykonania automatycznych testów urządzenia, otrzymując raport, że jest ono w idealnym porządku. Popatrzył ponownie na wyświetlacz. Rozmyty odcinek wydłużył się z obu stron. Na skórze poczuł wilgoć potu. Postukał w klawiaturę, wprowadzając program który miał odchylić tor statku od jego bieżącego kursu, wprowadził polecenie weryfikacji bezpieczeństwa i aktywował autopilota. Usłyszał wycie silników, wchodzące na wyższy ton, ale nie wyczuł nacisku bocznego wektora przyśpieszenia, który powinien pojawić się w reakcji na zmianę trajektorii lotu. Wprowadził hamowanie trzy g, gorączkowo starając się przypiąć z powrotem do fotela. Silniki zawyły, ale jego ciało nie wyczuło nawet najlżejszego szarpnięcia.

Rozmazana część zielonej linii, stawała się coraz szersza.

Zdał sobie sprawę, że wciska się mocniej w jeden z boków fotela. Oznaczało to, że statek w końcu zaczął skręcać. Ale przecież skasował ten program. I teraz, zupełnie nagle, uderzyło go przeciążenie wywołane hamowaniem. Poleciał do przodu, zawisając na pasach, z trudem łapiąc powietrze. Usłyszał nowy jęk i wdusiło go w pasy po jednej stronie, kiedy fotel pilota automatycznie zaczął się obracać, próbując wsunąć się pod jego ciało od strony wektora przeciążenia. Przez chwilę wciskało go w boczne oparcie, a potem fotel ustawił się we właściwej pozycji, napierając mocno na jego plecy. To mógł już wytrzymać, chociaż jak ocenił było to pięć, albo sześć g. Ciężko oddychał.

Hamowanie urwało się i znalazł się w stanie nieważkości. Ekrany i wyświetlacze ściemniały i pogasły. Silniki też przestały jęczeć i wyć. Pomyślał: „Coś mnie dopadło. Coś, co potrafi skryć się przed radarem i kontrolować statek na odległość, jak rybę na ostrzu ościenia.

Zerwał z siebie pasy, uwolnił się od nich i skoczył do szafki ze skafandrami. Ubrał się w gorączkowym pośpiechu przemknął przez śluzę powietrzną… i znalazł się na powierzchni planety.

Wrócił na Ganimedesa.

Ogarnięty paniką zaczął uciekać; wtedy, raptownie, w miejscu gdzie nie było niczego, na jego drodze coś wyrosło. Zdążył tylko odwrócić twarz w bok, żeby uniknąć uderzenia, zamknął oczy i próbował wyrzucić przed siebie ręce. Wpadł na coś, co się nie poddawało. Ręce ześlizgnęły się po tym czymś i nawet nie otwierając oczu wiedział, że wpadł wprost w ramiona robota. Próbował z nim walczyć, ale jego siły były żałosne. Odprężył się i spróbował pomyśleć.

W radiu hełmu jego skafandra odezwał się głos robota:

— Teraz cię uśpimy.

Walczył szaleńczo, aby wyrwać się na wolność. Jego mózg zaczął wrzeszczeć:

— Nie! Jeśli teraz zaśniesz, nigdy już…

Mylił się.

Pierwszym wrażeniem jakie odebrał po przebudzeniu, było uczucie fenomenalnego komfortu. Całe jego ciało czuło się doskonale. Ocknął się nieco bardziej i jego umysł człowieka kosmosu, zaczął działać: „Bardzo niewielka siła ciężkości, i wiszę podparty tylko pod pachami. Żadnego przyśpieszenia. Oddycha się nieco trudniej niż ziemskim powietrzem, ale odpowiada ono moim płucom i ma dobry smak.

Powieki otworzyły się mu same z siebie i wstrząs wywołany tym co zobaczył, poczuł jakby wbito mu nóż w środek brzucha.

Był pogrzebany w lodzie, spoglądając z zewnątrz na miejsce w którym wcześniej przebywał z Waverillem. Znajdował się daleko w głębi lodu i widział wszystko w bardzo zniekształcony sposób. Między nim a pustą przestrzenią było wiele różnych rzeczy: skał, zerodowanych artefaktów. Na granicy swego pola widzenia dostrzegł jeszcze jakiś niewyraźny zwierzęcy kształt.

Przerażenie poderwało go do walki o to, by choć trochę przekręcić głowę. Nie był w stanie tego zrobić; zamknięto go w czymś na tyle ciasnym, aby skrępować jego ruchy. Nos i usta były wolne, przepływał przez nie powiew bogatego w tlen powietrza, tak więc mógł oddychać. Przed oczyma miał na tyle dużo wolnego miejsca, że widział w powietrzu wirujące jak gęsta mgła drobinki jakiejś substancji. Pomyślał: „Oddychając jednocześnie jestem odżywiany. Nie czuję głodu”. Ze zgrozą spróbował pozbyć się odżywki z płuc. Trudno było ją z siebie wydusić. Uporczywie próbował wstrzymać oddech, ale w końcu musiał się poddać, i w efekcie zaczął łapczywie wciągać ją z powrotem. Próbował krzyczeć, ale dźwięk był stłumiony i niemal niesłyszalny.

Ogarnęła go panika i zaczął się szarpać, bez żadnego efektu, poza tym, że odkrył, iż otaczająca go skorupa poddawała się bardzo powoli, jeśli wystarczająco długo ją naciskał. To przywróciło mu nieco rozsądku, i odprężył się ponownie aż do czasu gdy minęło zmęczenie.

Rozmyty kształt po jego prawej stronie lekko się poruszył i poczuł przemożny przymus, aby zobaczyć go nieco wyraźniej. Nawet kiedy był w

stanie go już oglądać, pełna grozy fascynacja zmuszała go do dalszego wysiłku, aż do chwili kiedy odwrócił się w pełni w jego stronę.

Była to żywa, obscenicznie żywa, karykatura części ciała człowieka. Nie miała właściwej skóry, okrywała ją ohydna przeświecająca membrana. Całość była zamknięta, podobnie jak zamknięty musiał być Murdoch, a z tego swoistego „pojemnika" sterczało kilka rur, ciągnących się gdzieś daleko w ciemny lód. Nogi tego stworzenia całkowicie zniknęły, zaś z rąk pozostały tylko kikuty, wystarczające do tego, aby mogło ono wisieć w swym pojemniku. Rozdęte płuca powoli pulsowały, wdychając i wydychając mgliste coś, podobne do tego czym oddychał Murdoch. Żołądek skurczył się do rozmiarów małego, odrażającego woreczka, wiszącego w brzuchu w otoczeniu obiektów prawdopodobnie pochodzących od wątroby i nerek. Krew krążyła po wstrętnej plątaninie naczyń, przetaczana przez rozrośnięte serce, sterczące spomiędzy płuc. Niewielka część krwi pompowana była do góry, do czegoś, co kiedyś musiało być głową. Pozbawiona ona była czaszki. Nos i usta zmieniły się w jedną okrągłą dziurę, do której wciągana i z której wydychana była odżywcza mgła. Widoczny przez membranę mózg wyglądał przerażająco i był straszliwie skurczony. Para pozbawionych powiek oczu gapiła się bez ruchu w kierunku Murdocha. Cała pozbawiona szczęki głowa, była wielkości mniej więcej obu złożonych razem pięści Murdocha, jeśli dobrze oceniał przez zniekształcającą warstwę lodu.

Żołądek wywracał mu się na nice, ale nie był w stanie wymiotować. Murdoch zmusił się do oderwania wzroku od stworzenia. W tej samej chwili, skądś, nie wiedział skąd, odezwał się do niego głos obcego.

— Zbyt piękny to on nie jest, co Murdoch? Ale stanowi niezły bank wirusa. Wiesz, miałeś rację co do tego, że wirus oferuje ogromną długowieczność, ale ma swoją własną koncepcję, jaki powinien być jego nosiciel.

Murdoch wydał z siebie jakiś bełkotliwy odgłos, a obcy mówił dalej:

— Twoje słowa są nierozpoznawalne, ale być może chcesz zapytać jak długo trwało zanim ten człowiek zmienił się coś takiego. Był jednym z pierwszych naszych gości i pierwszym, który próbował nas okraść. Jego plan nie był tak sprytny jak twój, który dostarczył nam naprawdę doskonałej rozrywki, chociaż oczywiście nie miałeś najmniejszej szansy w starciu z naszą wiedzą naukową, przekraczającą twoje zdolności pojmowania.

A w odpowiedzi na jego jęk, dodał jeszcze:

— Nie trać zacięcia filozoficznego, Murdoch. Będziesz potrzebował wielu tematów do przemyśleń, żeby jakoś zabić czas.

„Ja zwariuję", pomyślał. „To jedyna droga wyjścia!"

Ale wątpił, czy pozwolą mu nawet na ucieczkę w szaleństwo.

KONIEC